Rok I. Kraków, w czerwcu 1914. Nr. 10—11.

NASZA CHATA

DODATEK DO „NOWEGO DZWONKA“

wychodzi w Krakowie dwa razy w miesiącu — dnia 1-go i 15-go.

Od Wydawnictwa.

Tym zwiększonym (10 i 11-ym) numerem zamykamy wydawnictwo „Naszej Chaty“, odtąd więc pismo to już dalej wychodzić nie będzie. Nie będziemy dołączali „Naszej Chaty“ do „Nowego Dzwonka“ — gdyż przez ten dodatek musiał być „Nowy Dzwonek“ droższym, a wielu Szan. Czytelników wyraziło życzenie, abyśmy obniżyli prenumeratę „Nowego Dzwonka“. Chcąc tedy zadość uczynić temu żądaniu, musimy znieść dodatek do „Nowego Dzwonka“ to jest „Naszą Chatę“.

Wskutek tego „Nowy Dzwonek“ (bez „Naszej Chaty“) kosztować będzie od 1 lipca br. na cały rok tylko 2 Kor. 50 hal., a na **pół roku** 1 Kor. 25 hal., czyli będzie o połowę tańszy.

Kto zaś z pośród Czytelników zechce mieć oprócz „Nowego Dzwonka“ jeszcze pismo powieściowe i z różnemi radami pożytecznemi, niech sobie zaprenumeruje także:

„NOWĄ ZORZĘ“

która wychodzić będzie od lipca raz w miesiącu i kosztować będzie półrocznie (od lipca do końca bież. roku) również tylko 1 Kor. 25 hal. Rozumie się samo przez się, że Czytelnicy, którzy zapłacili za „Nowy Dzwonek“ na drugie zbliżające się półrocze 2 Kor. 50 hal. — otrzymywać będą za tę kwotę **oba pisma**, tj. „Nowy Dzwonek“ i „Nową Zorzę“ do końca tego roku.

Wszystkich życzliwych nam Czytelników prosimy, aby o tem zniżeniu prenumeraty zawiadomili swoich znajomych zachęcili ich do prenumerowania w lipcu tak „Nowego Dzwonka“, jako i „Nowej Zorzy“.

Maciek Zerwikaptur.

Już ponoś na Mazurach, co Maciek to zuch, ale nasz Maciek Zerwikaptur, o którym tu będzie opowiadanie, to Maciek nad Maćkami!

Muszą nam przyznać i najwięksi nieprzyjaciele, że ongi przed laty, kiedyśmy mieli własnych królów i siłą i znaczeniem byli mocniejsi od najmocniejszych narodów, to nigdy nie dybaliśmy na cudzą własność i nie szarpali się na słabszych od siebie. Ale wara! aby nam kto pluł w kaszę, lub w orywał się w miedzę! O miły Chryste Panie, w potrzebie umieliśmy zawsze zakasać rękawy i wygarbować skórę wrogom, że aż miło! A kto raz oberwał potężnego guza na naszej ziemi, ten się na drugi raz dobrze poskrobał za ucho, nim znowu puścił się w taniec z Polakami.

Poznali to już niejednokrotnie i Tatar psiawiara i Turek poganin, poznał Niemiec i Szwed luter okrutny i Moskal chytry, i Niemiec Krzyżak łapczywy. O jużto Bogiem a prawdą tych Krzyżaków biliśmy jak w bęben, co wlezie, bo ustawicznie łazili nam w drogę i wyciągali szpony na naszą pracę.

I właśnie wówczas, kiedy żył ten nasz Maciek, zwany później Zerwikaptur, to z tymi Krzyżakami była sprawa. Król Władyslaw Łokietek, co to nie wiele na łokieć wyrósł ciałem, ale za to sążniście wielki był duszą i sercem, zebrał wiele wojska, aby od swoich granic odpędzić wroga. Mnóstwo tam było panów i szlachty wokoło króla i żołnierzy dzielnych kupa, a za panami jak to zwykle bywało, ciągnęło z tyłu na wszystkie usługi wielu chłopków, co mieli jeno pilnować koni i wozów pańskich i zwali się po dawnemu ciurami.

Owóż i nasz ten Maciek był sobie tylko prosty chłopek, także niby taki ciura, co szedł na wojnę tylko na usługi swego pana, a nie do żadnej tam bijatyki. Chłop, to był jednak jak się patrzy! Nie był onci tak rosły wysoko, jak siarczyście krępy, podsadkowaty, więc sam na sam z niedźwiedziem nie bał się pójść w obertasy. Szedł sobie z tyłu za wojskiem, a zawsze przyśpiewywał, bo jako sprawiedliwy Mazur lubił nie tylko jaglaną kaszę i szperkę, ale też tańce i śpiewki wesołe.

Pewnego dnia stanęło wojsko w polu, a król Władysław każe trąbić na bitwę. Ledwie jeno człek zmówił Zdrowaś Marya, a jużci okrutny powstał krzyk i harmider. Nadciągnęli Krzyżacy niecnoty, a nasi dalej na nich, rżnij i bij, wal co się zmieści. Ale Krzyżaków siła wielka, nie dają się zrazu i patrzaj het spół biją się z naszymi!

A nasz Maciek stoi z tyłu między ciurami i słucha jak tam jedni krzyczą, drudzy piszczą, inni jęczą, a klną, wyzywają, wszędzie brzęczą szable, i dzidy i okropny jakiś rozlega się hałas. Sprzykrzyło się Maćkowi stać tak z tyłu za plecami i widzieć nawet, jak tam nasi kropią kurtę wrogom. Więc też odezwie się do jednego ze swych towarzyszów:

— Hej Marcinie, potrzymajcie tu mojego konia, a ja pójdę się przypatrzyć trochę, jak tam nasi łają skórę, tym Krzyżakom.

Nie czekając długo, magierkę zasadził na bok, wąs podkręcił na ostro i z gęstą miną szumno i zamaszysto posunął naprzód. A że to jak mówią, strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc też po drodze chwycił jakiś setny berdysz, czyli topór z szerokiem ostrzem, który snać jeden z zabitych zostawił na ziemi.

Z tym tedy berdyszem wysunął się Maciek naprzód, a tak trochę na boku stanął sobie pod drzewem, aby się roz-

glądnąć dokoła. Ledwie jednak rzucił okiem po swoich, aż tu jakiś sążnisty Krzyżak w żelaznej zbroi z ogromną dzidą bieży ku niemu, a z boku dwóch innych jeszcze z większymi dzidami wali także w tę stronę.

Maciek wzruszył ramionami i zawołał z daleka:

— Wróć się, wróć się panie Niemcze, boć ja nie żaden szlachcic, ja jeno wyszedłem się przypatrywać, jak wam tu nasi wygramolą skórę!

Ba, patrzy, Krzyżak nie słucha, tylko tamtych dwóch do siebie przyzywa i w samotrzeć sunie na niego jak dym.

— Czy mię nie posłyszał Niemczysko — myśli sobie Maciek i jął co siła machać ręką i wrzeszczeć z całego gardła: — Wróćże się panie Niemcze ze swoimi kamratami, mówię ci, że ja prosty ciura, a na wasze skóry to szlacheckiej potrzeba ręki.

I widzisz ich, słyszą psubraty, a oni tak obces na niego, ba nawet dzidami wymierzają mu wprost do gardła. Zasłania się Maciek berdyszem jak może i już mu krew zaczyna kipieć w żyłach. Zachmurzył czoło, mówi groźnie:

— Ejże panie Niemcze, nie czepiaj mnie, bo dalibóg, że cię palnę:

A oni przecie suną naprzód i sztychają dzidami. Było już tego za wiele Maćkowi, wpadł nareszcie w gniew okrutny i jak nie odskoczy w tył, jak i splunie w ręce, a nie huknie z całego gardła, a potem jak nie zawinie młyńca berdyszem! o Matko Boska owe trzy Krzyżaki stoją jeszcze chwilkę na nogach, ale ich głowy leżą już na ziemi. Raz tylko zamachnął Maciek, ale tęgo co się zowie!

— A widzicie, samiście chcieli — rzekł — pamiętajcie sobie na drugi raz, jak zaczynać ze mną. A kiedyście mnie już raz rozłościli, to wam pokażę, gdzie raki zimują:

I dalej obcesem wali na szeregi krzyżackie. Ale nie było już po co! Już im nasi tymczasem skroili kurtę bez Maćka. Uciekali Krzyżacy, aż się kurzyło, a nasi pędzili jak trzodę baranów i grzmocili po grzbiecie, co się zmieściło. Nabił się też i Maciek uciekających, ale jak się zmęczył i zasapał, to pomyślał sobie: a niech ich tam już wszyscy dyabli biorą! i wolnym krokiem powrócił do swoich koni. Zmocował się bardzo w tej potrzebie i chciał się przedrzemać trochę, więc też wygodnie rozłożył się na ziemi i magierką zakrył się od słońca. Ledwie co zmrużył oczy i zaczął chrapać należycie, aż tu budzą go raptownie i wołają: w ten moment do króla.

Przestraszył się Maciek na razie i myśli sobie:

— Może król jegomość sierdzi się, żem trochę poturbował tych Krzyżaków, no, ale Bóg świadkiem, żem ich nie zaczepiał, jeno jeszcze przestrzegał z daleka.

Pokręcił więc wąsa, poprawił rzemień i sunie śmiało do króla.

A król Łokietek w świecącej zbroi stoi na drodze, a koło niego panów gromada, a mnóstwo chorągwi krzyżackich leży mu pod nogami i kupa pojmanej starszyzny krzyżackiej w pokornej postawie czeka na boku.

I przyszedł Maciek między to państwo a król w skok do niego:

— A toś ty zuchu coś za jednym zamachem trzem krzyżakom głowy uciął?

— Widzi Maciek, że król radosny i bardzo łaskawy na twarzy, więc też pokręcił wąsa i rzekł:

— A czego proszę króla jegomości nie słuchali, kiedym ich przestrzegał z daleka hę?

Niech sobie pamiętają na drugi raz.

A król zaśmiał się łaskawie i panowie zaśmiali się w głos, a Maciek, widząc taką łaskę, rośnie jak na drożdżach.

— Nakłułci ja i innym jeszcze karku — rzeknie — ale to się nie rachuje, proszę króla jegomości, bo już wtedy uciekali.

A król na to przychodzi blisko do Maćka i ręką głasnął go po brodzie.

— A tyś Mazur? — pyta.

— A Mazur, Maciek się nazywam proszę króla jegomości.

— A gdzieżeś się tak rąbać nauczył— pyta król dalej — trzy głowy ściąć za jednym zamachem, to rzecz nie lada.

— Ej, co mi to za głowy — powiada Maciek — siedziały tak lekko na karku, jakby przylepione, jeno machnął, a odpadły jak kaptury od opończy.

A król znowu w śmiech, potem rzecze powagą.

Kto tak walnie umie kropić wrogów Ojczyzny, ten nie może być prostym ciurą. Od tej chwili jesteś szlachcicem na wieczne czasy, a na pamiątkę będziesz miał trzy głowy baranie na swej pieczęci i będziesz się zwał Zerwikapturem.

Padł Maciek do nóg królowi i jął dziękować za tę łaskę, a miłościwy król nasz prócz szlachectwa udarował go jeszcze i ziemią szeroką.

Nasz Maciek Zerwikaptur nie wracał już do pańskich koni, ale poszedł na wielką ucztę do pańskiego stołu, bo odtąd był już tak równy panu jak chłop chłopu.

Po skończonej wojnie Maciek Zerwikaptur osiadł we dworze i na dwóch wsiach był dziedzicem, ale nie wypierał się swych krewnych i dawnych znajomych i ciągle tylko prosił Boga, aby się rychło trafiła jaka okazya, żeby mógł wywdzięczyć się królowi i ojczyźnie za te łaski. I kilka razy był jeszcze na wojnie i zasłużył się dobrze swej matce Polsce.

Umarł w późnym wieku, a jego potomkowie są po dziś dzień szlachtą i piszą się Zerwikapturami.

Mądra małżonka.

Pewien ojciec rodziny, który już wiele się nacierpiał na świecie, stał się wskutek tego smutnym i ponurym.

Żona jego, acz wszystkie te cierpienia razem z nim dzieliła, uważała jednak ten smutek męża za największe nieszczęście i dlatego wszelkich używała środków, aby go rozweselić. Ale nic nie pomagało; słowa pociechy jak groch na ścianę padały.

Pewnego dnia i sama posmutniała i do nikogo nic nie mówiła. Mąż znając jej wesoły humor i pogodne usposobienie, zadziwił się mocno i obawiał się czy też nowy jakiś cios nie spadł na nich o którym mu żona nic nie mówi, chcąc mu oszczędzić większych cierpień. Nalegał przeto na nią, by mu wyjawiła przyczynę tak wielkiego smutku.

— Musiało się coś bardzo przykrego stać — mówił do niej — kiedyś ty sama straciła swój humor.

Lecz ona na żaden sposób przyczyny swego smutku wyjawić nie chciała, tak, iż ciekawość i obawa męża doszły do ostateczności. Po wielu wreszcie prośbach i naleganiach, pytaniach, zaczęła mu opowiadać: „Bardzo smutny sen miałam dzisiaj w nocy. Śniło mi się, że Pan Bóg umarł, dlatego też nie mogę się pocieszyć w tym smutku“.

— O jakiż to głupi sen! — zawołał mąż, po długim czasie pierwszy raz się śmiejąc — jakże ci się mogło takie głupstwo śnić?

Lecz sen, jak sen. Ale jakżesz teraz na jawie możesz się tem smucić? Czyż Bóg może umierać? Czyż On nie jest wieczny?

Oblicze żony wypogodziło się zaraz i zapytała wtedy:

— Więc sen mój nic nie znaczy? więc żyje jeszcze nasz dobry Bóg?

— Rozumie się, że żyje — odparł mąż, który już zaczął myśleć, że żona jego straciła zmysły; — jakże ty możesz tak dziecinnie i nierozsądnie mówić?

Z wyrazem najwyższej radości odrzekła żona:

— Jeśli więc tak jest, jak ty mówisz, jeśli nasz dobry i łaskawy Bóg jeszcze żyje, który nas już przeszło 50 lat utrzymuje, jeśli ten Bóg żyje, który się o małych i wielkich po ojcowsku stara — jakże ty możesz rozpaczać i tracić w Nim ufność? Tak jak ten nasz dobry Bóg nie umarł, tak się też i nie zmienił; zawsze On jest ten sam dobry, łaskawy, Ojciec wszystkich ludzi — a jako się starał o nas, gdyśmy byli dziećmi, tak też będzie starał i nadal o nas i o nasze dzieci. Nie rób więc wstydu temu dobremu Ojcu niebieskiemu i nie trać nadziei w dobroć Jego niezmienną i wieczną.

Mąż do głębi wzruszony, rzekł ze łzami:

— O ty mądra pocieszycielko; masz słuszność — tyś rozumniejsza i lepsza chrześcijanka, niż ja; odtąd z pewnością zaufam wiecznemu i niezmiennemu Bogu, i nie będę więcej rozpaczał.

W starym Rzymie.

O początkach tego wiecznego miasta, o założeniu jego przez Romulusa, jużeśmy pisali dawniej w „Naszej Chacie“. Dziś opowiemy o tem, kto najpierw rządził Rzymie.

Po śmierci Romulusa, ster rządów objęli urzędnicy, stanowiący jego radę przyboczną. Byli to tak zwani patrycyusze. Każdy z nich kolejno przez dwanaście godzin miał władzę królewską; długo to jednak potrwać nie mogło, bo lud szemrał, że zamiast jednego króla ma ich 150. Po długich więc naradach obrano królem Numę Pompiliusza.

Trudno było o lepszy wybór; mąż to był wielkiej cnoty i pierwszem jego staraniem było złagodzenie dzikości swoich poddanych za pomocą religii, wprowadzenie w kraju ładu i porządku. Z czasem ustaliły się u Rzymian pewne obyczaje.

Starożytni Rzymianie byli poganami. Wierzyli oni, że wszystko, co jest na świecie, jest dziełem boskiem, ale myśleli, że bogów jest wiele i każdy czem innem się opiekuje.

Kiedy dziecię przyszło na świat, sądzili Rzymianie, że gromada bóstw bierze je zaraz w opiekę, że również miasta, góry, pola, źródła, rzeki, nawet drzewa zostają pod opieką osobnych bożków i bogiń.

Później przez stosunki z innymi narodami, przyjęli Rzymianie bogów obcych i pojęcia o nich pomieszali z własnemi bóstwami, zaczęli je przedstawiać w pięknych kształtach ludzkich. Na wzór greckiego Zeusa, swemu Jowiszowi zbudowali świątynię na wzgórzu Kapitolińskiem, podobnież Junonie — bogini małżeństwa, Minerwie — bogini mądrości, Weście — bogini niewinności i ogniska domowego. Przy każdej świątyni byli kapłani, którzy dopełniali obrzędów na cześć bóstwa. Pozatem jednak każdy kapłan mógł być jednocześnie wodzem lub urzędnikiem. Król był najwyższym kapłanem.

Świątynię bogini Westy obsługiwały westalki. Były to dziewice, niby zakonnice, poświęcone na zawsze służbie bogini Westy. Obowiązkiem ich było przechowywać ogień święty na ołtarzu świątyni. Jeżeli ogień zgasł, było to znakiem, że niebezpieczeństwo jakieś grozi krajowi; strach ogarniał wszystkich, a znajdującą się wówczas na służbie westalkę ciężko karano; za to, jak i za inne wykroczenia, zakopywano ją żywcem w ziemi.

Kopano głęboki dół, do tego dołu wstawiano stolik, na nim bochenek chleba, dzbanek wody, trochę mleka, oleju i płonącą lampę. Skazaną westalkę niesiono w osłoniętej lektyce (noszach). Przy dole arcykapłan odprawiał modlitwy, poczem wynosił czarną zasłoną okrytą westalkę i stawiał ją na drabinie. Gdy zeszła, ściągano drabinę i wieko grobowe zapadało się nad nieszczęśliwą.

Westalki otaczano wielką czcią, jeżeli kto ośmielił się westalce ubliżyć, śmiercią był karany. Jeżeli westalka spotkała na ulicy winowajcę, prowadzonego na śmierć, natychmiast go uwalniano.

Oprócz kapłanów, którzy pełnili służbę w świątyniach — każdy ojciec rodziny był kapłanem swoich bogów domowych, którym co dnia ofiary składał i zanosił modły za rodzinę i domowników.

Rzymianie wierzyli jeszcze bardzo we wróżby, gusła i zabobony. Gdy, naprzykład, Rzymianin wychodził z domu, uważał, żeby próg przestąpić prawą nogą; pisk myszy zdawał mu się tak straszną wróżbą, że usłyszawszy go, przerywał wszelką, choćby najpilniejszą robotę.

Zaślubiny odbywały się u Rzymian bardzo uroczyście. Narzeczony dawał narzeczonej żelazny pierścień, który ona wkładała na „serdeczny“ (czwarty) palec lewej ręki, poczem kapłan Jowisza łączył ręce narzeczonych i składał ofiarę Junonie. Następnie orszak weselny wiódł pannę młodą do domu męża, śpiewając pieśni do Hymena, boga małżeństw. Przed wejściem do domu pan młody zapytywał narzeczoną; „Kto jest?“ Ona zaś odpowiada: „Tam gdzie ty będziesz mężem, ja będę niewiastą“. Zaraz towarzyszki brały ją pod ręce i przenosiły przez próg mężowskiego domu.

U prostego ludu ojciec przy świadkach sprzedawał córkę temu, kto ją chciał zaślubić. Cena wynosiła trzynaście groszy.

— Kobieto! — pytał narzeczony, — chcesz być matką mojej rodziny?

— Chcę! — odpowiadała narzeczona i zapytywała: Człowieku chcesz być ojcem mojej rodziny?

— Chcę! — odpowiadał narzeczony, poczem na znak, że kobieta powinna ulegać mężowi, rozdzielał jej sześć razy włosy na głowie ostrzem lancy (broni).

Gdy Rzymianin umierał, ciało jego składano na marach, pokrytych cienkiem płótnem, a obok oręż, który zdobył na nieprzyjaciołach i oznaki godności. W osobnej szafie wystawiano maskę zmarłego, to jest twarz, wyciśniętą w wosku. Potem synowie lub najbliżsi krewni nieśli mary na ramionach. Za nimi szła rodzina, domownicy i płaczki, które wynajmowano, by płaczem i zawodzeniem wyrażały żal rodziny po stracie zmarłego.

Na rynku żałobny orszak zatrzymywał się, ciało składano na wzniesieniu, żeby wszyscy mogli je widzieć, syn zaś albo krewny wypowiadał mowę, w której sławił czyny zmarłego.

Z rynku niesiono ciało za miasto i spalano je na stosie. Popioły i kości zbierano do urny — naczynia w kształcie dużego dzbana. Urnę stawiano w grobowcu.

W ciągu roku były dni przeznaczone pamięci zmarłych, wtedy rodzina zano-

siła do grobów pożywienie dla nieboszczyków. Rzymianie wierzyli, że dusza zmarłego stawała się bóstwem, kochającem i wspomagającem tych, którzy o niem pamiętali.

Jak powstała nasza rola.

Przed tysiącami lat ziemia nasza, która dziś jak tkliwa macierz tuli i karmi swe dzieci — ludzi, okryta była nieprzejrzaną masą wód. Aż przyszedł wielki dzień, gdy te ogromne wody spłynęły; potworzyły się morza, jeziora, rzeki, a część powierzchni ziemi stanęła naga, gotowa już do dania pożywienia ludziom.

Ale młoda ziemia była twardą, bezpłodną opoką, na której żadne ziarnko wzejść by nie mogło. I oto zjawiają się pierwsi pracownicy, przygotowujący z niej rolę pod zasiew dla przyszłych pokoleń. Fale rzek i mórz biją w niezłomne skały; straszne wichry smagają je, krople deszczu, śnieg, grad uderzają wytrwale w twardy kamień. Cierpliwość zwycięża siłę i skały pomału kruszeją, rozpadają się na ciężkie głazy, które wpadają w fale wód, woda chwyta je, unosi, rozbija o brzegi, tłucze na kamyczki, na żwir, piasek i muł. Jeszcze potężniej działają zimą rozbijające się o brzegi bryły lodowe. Może kto temu nie wierzy i spyta, skąd wiadomo, co było przed tysiącami lat? Niech idzie nad brzeg wezbranej rzeki, popatrzy, jak toczy ona w swych groźnych nurtach wielkie nieraz głazy, rozbija je, jak żwirem zarzuca dno, a piaskiem usypuje brzegi. Niech się przypatrzy, jak wiosną kra obtłukuje nadbrzeżne kamienie. A gdybyśmy tak poszli w nasze największe góry, Tatry, spojrzeli na rwące, spienione potoki górskie, jak przerzynają się przez skały, krusząc je i unosząc z sobą ich odłamy, to już nikt z nas nie wątpiłby, że woda mogła tak wielką pracę wykonać w ciągu lat tysięcy. Pomaga jej w tem dzielnie powietrze: gdy zawieje, unosi z sobą całe tumany piasku, przerzuca naniesione przez rzekę wydmy na dalekie nieraz przestrzenie i pokrywa piaskiem powierzchnię skał.

Tak, powiecie, mamy więc teraz nietylko skały, ale i wydmy piaszczyste. Cóż komu z nich przyjdzie? Człowiekowi — nic. Są jednak twory, którym ledwie rozkruszona skała i sypki piasek już do życia starczą. Takimi tworami są naprzykład porosty.

Znamy napewno wszyscy te zielone i szare skorupy i kożuszki, które pokrywają powierzchnie kamieni, starych desek, domów, strzech, a nazywane bywają niewłaściwie mchami. Porost drobniutkiemi korzonkami czepia się skały, wpija się w najmniejszą szczelinkę, rozrywa ją, kruszy na piasek. Gdy zamarł, jego suche, skruszone ciało utworzyło pierwszy na świecie nawóz, użyźniający piaski i ułatwiający życie innym, szlachetniejszym roślinom.

Na piaskach rosną chętnie rośliny o długich, rozgałęzionych korzeniach; zagarniają one temi korzeniami piasek, nie dając mu się rozsypywać i unosić z wiatrem. Takie rośliny nazywają uczeni „wiążącemi piasek". Do nich należy naprzykład trzcina piaskowa, porastająca obecnie rozległe wydmy piaszczyste nad brzegami mórz. Gdy trzcina taka „zwiąże" piasek, to jest umocni go splątanemi gęsto korzeniami, to po pewnym szeregu lat ginie zupełnie, a na utrwalonym przez nią piasku ukazuje się całkiem inna roślinność, lepsza już wzmagająca gleby, naprzykład różne ostre trawy. W nich osadzają się stopniowo gnijące cząstki

roślin i zwierząt, ostatecznie użyźniając bezpłodne dawniej wydmy i czyniąc z nich, jeśli nie zupełnie urodzajną glebę, to przynajmniej odpowiednią do uprawy ziemię.

Zdarza się, że pod cienką warstwą leży twarda skała. I wtedy rośliny również przyczyniają się do wytworzenia gleby. Korzonki ich wydychają obficie kwas węglowy, ulot, który przegryza skały. Pod działaniem tego ulotu skały kruszeją, pękają i pomału rozsypują się, pogrubiając przez to urodzajną warstwę.

Przed wiekami było na ziemi bez porównania więcej błot i rozległych moczarów. Cóż z niemi się stało? Oto rośliny tak długo walczyły z przenikającą je wodą, aż wydarły jej ziemię i utworzyły na ich miejscu glebę, na której może rosnąć nawet zboże.

Na takich moczarach rosły najpierw obficie rośliny wodne; coraz silniej wypełniały je splątanemi korzeniami, obumarłe liście i łodygi opadały na dno ustępując na powierzchni miejsca nowym. Na tę plątaninę wichry sypały tumany piasku i sypkiej gliny, padały na nie trupy różnych zwierząt, i tak pomału tworzyły się nasypy, zrazu mocno błotniste, później coraz wyższe i suchsze; wreszcie mokradło zanikało zasypane piaskiem i utrwalone masą szczątków roślin. Na miejscu tem zjawiała się roślinność odmienna, już nie wodna lecz lądowa, zmieniając ostatecznie powierzchnię.

Zmiany takie jeszcze odtąd ustawicznie odbywają się na ziemi. I teraz możemy zauwarzyć, jak w ciągu lat szeregu małe sadzawki zarastają od brzegu trzciną i tatarakiem coraz dalej w głąb, widocznie maleją, zamieniają się w bagienka zarosłe szuwarem, i stopniowo wkońcu wysychają.

Dzisiaj już ludzie umieją spożytkować tę pracę roślin dla siebie: na piaskach naprzykład sadzą sosny, które utrwalają piasek swemi korzeniami, a użyźniają go odpadłem igliwem. Bór sosnowy, wycięty po wielu latach, daje karczowisko zdatne już pod uprawę. Na błotach sadzimy również odpowiednie krzewy, które je zarastają i przyśpieszają wysychanie.

Nie same jednak rośliny wytworzyły dzisiejszą glebę. Do jej powstania przyczyniły się również zwierzęta. Trupy ich gnijąc rozpadają się na przeróżne gazy, czyli uloty, które wsiąkają w ziemię i stanowią pokarm dla rosnych na niej roślin.

Aby rola mogła wydać dobry plon, musi być nietylko w miarę sypka, w miarę wilgotna i zawierać dostateczną ilość pokarmu dla roślin, ale musi być jeszcze pulchna. Człowiek przed siewem spulchnia ziemię łopatą lub pługiem. To spulchnienie jest tylko jednorazowe, a więc niewystarczające. Ziemia po niejakim czasie osiada i twardnieje, a powtórnie skopać jej nie można, aby nie uszkodzić młodych roślinek. Ale wtedy dla człowieka pracują tam, w głębi ziemi, setki maleńkich, szpetnych stworzonek. Ciało ich długie, cienkie, wilgotne, cielistej barwy. Ruchy wężowate. Są to dżdżownice, niewłaściwie glistami zwane. Każda z nich, snując się nieustannie w ziemi, łyka cząstki gleby, wysysa z nich dla siebie pożywienie, a resztki wydziela z ciała, spulchniając wybornie całą przebytą przez siebie przestrzeń. Tak pracowały dżdżownice tysiące lat temu, gdy jeszcze człowiek nie uprawiał roli, jakby przygotowując mu ją pod przyszły zasiew, tak cicho i w ukryciu pracują po dziś dzień.

Ileż to razy ludzie chełpią się tem, co już zdziałali na świecie: pięknemi sadami, żyznością niw, bujnemi łąkami. A jak rzadko przychodzi nam na myśl, że cała

praca ludzkości byłaby bezowocna, gdybyśmy nie mieli pomocy tych niemych współpracowników.

Chciwiec.

Opowieść ludowa szwedzka.

Był pewien kmiotek liczną obarczony rodziną, biedny bardzo, ale to tak biedny, że na przednowku, z powodu braku zboża żywił się grzybami i bedłkami. Nieszczęśliwy udawał się po zapomogę do zamożnego sąsiada, ale prócz szorstkiej odmowy, nic więcej nie zyskał; prosił o miarkę zboża na odrobek, ale napróżno. Strapiony odmową powlókł się znowu do lasu szukać bedłek, bo już grzybów nie stało.

Zajęty szukaniem nędznego pożywienia dla siebie i rodziny, spostrzegł idącego lasem dziwnie pięknego staruszka (był to Anioł Boży, ale go kmiotek nie poznał). Biedak, ukryty w gęstwinie widział, jak starzec przyszedłszy do pobliskiej skały, zapukał, mówiąc: „Drzwiczki, drzwiczki, otwórzcie się!“ Jakoż ukryte drzwi otworzyły się, staruszek wszedł, a drzwiczki zatrzasnęły się za nim. Po chwili wyszedł i pomału udał się w stronę, z której przybył.

Zaciekawiony chłopek zbliżył się wtedy do owej skały i pukając, wyszeptał: „Drzwiczki, drzwiczki, otwórzcie się!“ I o dziwo, drzwi otwarły się! Wszedł głębiej i stanął osłupiały, obaczył bowiem w jaskini niezmierne bogactwa i usłyszał głos: „Bierz ile chcesz, ale nie waż się przychodzić tu powtórnie“. Zdjął tedy z siebie kapotę i nagarnął w nią z tych bogactw, ile unieść zdołał

Słońce już zaszło, zmrok zapadł, gdy przybył do domu, a nie umiejąc przeliczyć skarbów przyniesionych, inaczej, jak na miarę, której nie miał, wstąpił po nią do sąsiada. Sąsiad nie z dobrego serca, lecz z ciekawości, chętnie mu jej udzielił, myśląc sobie: „Skąd ten nędzarz mógł dostać zboża? Dowiem się gdy miarę odniesie. Jakoż nazajutrz póty stukał w odniesioną miarę, czy nie wyleci z niej jakie ziarno zboża, aż zdziwiony spostrzegł wypadającego ze szpary dukata. Zmiarkował tedy, że biedny jego sąsiad skarb znalazł, a że chociaż bogaty, nadzwyczajnie był chciwy, jął go zręcznie badać, a wreszcie otwarcie prosić o wskazanie miejsca, gdzie się skarby owe znajdują.

Milczał biedak, przejęty trwogą, z powodu słyszanego w jaskini zakazu, aż znużony naleganiem uległ i wyznał, że rzeczywiście skarb znalazł, lecz ani sam więcej tam nie wejdzie, ani nikomu nie zdradzi. Nic jednak nie pomogły prośby i przedstawienia, sąsiad tyle mu się uprzykrzał, aż wskazał zaklęte miejsce w lesie.

Rozpromieniony chciwiec, nabrawszy ze sobą worów i worków, osobno na złoto, osobno na srebro, stanął przy skale i śmiało zawołał: „Drzwiczki, otwórzcie się!“ Drzwi uchyliły się. Wszedł co prędzej, lecz na wstępie struchlał z przestrachu, bo na niezmiernych skarbach leżał rozciągniony pies czarny i ludzkim głosem doń przemówił: „Czy mało nabrałeś wczoraj pieniędzy? Czy nie mówiłem ci, abyś tu więcej nie przychodził?“ Chciwiec przeraził się. W trwodze wielkiej zwrócił się ku drzwiom, z myślą ucieczki, ale znalazł je zamknięte. Trwoga zamieniła się w rozpacz... czarny pies z przeraźliwem wyciem rzucił się ku niemu, a jaskinia wraz ze skarbami i skąpym kmiotkiem zapadła się w ziemię.

Pranie bielizny.

Najpraktyczniej i najkorzystniej dla zdrowia jest prać bieliznę co 14 dni. gdyż pot, rozkładając się, niszczy tkanki lniane i szerzy w domu wyziewy zdrowiu szkodliwe. W domu, gdzie są malutkie dzieci, pierze się codziennie. Dzień przed praniem bieliznę pogatunkować, bardzo brudną osobno i mniej brudną osobno i na całą noc namoczyć. Kolorowa bielizna i pończochy piorą się osobno.

Bieliznę moczy się na całą noc w następujący sposób: pół kg mydła potrzeba na 50 sztuk bielizny, większej czy mniejszej. W baniaku zagrzewa się konewkę wody, rozgotowuje w niej 12 dkg. mydła pokrajanego na drobne kawałeczki i dodaje dwie łyżki sproszkowanej sody.

Gdy się mydło już rozgotowało, płyn wylewa się do balii lub cebrzyka i dolewa 2—3 konewki zimnej wody (najlepiej deszczówki gdy jest). Gdy woda tylko letnia, nie gorąca, bo w gorącej wodzie zaparzony brud nigdy nie puści, macza się w tej wodzie każdą sztukę bielizny, zaczynając od cienkiej i mało brudnej. Wyciska się każdy kawałek lekko z wody i układa w drugiej balii lub cebrzyku, jeden koło drugiego. Gdyby co z tej wody zostało, polewa się po bieliźnie i zostawia tak bieliznę przez noc.

Na drugi dzień wybiera się na balię po kilka sztuk bielizny, podlewa ciepłą wodą, daje trochę sody sproszkowanej i pierze starannie w tej samej wodzie, pomydliwszy gdzie są plamy zażółcone, lub zapocone. Bieliznę wykręca się zawsze wzdłuż jak nitki idą, a nie w poprzek. Wodę odmienia się kilka razy i przepiera całą bieliznę dwa razy, pierwszy raz z prawej strony się namydla, a drugi raz przewraca każdą sztukę na lewą stronę i znów tak samo namydla i pierze.

Gdy wszystka bielizna dwa razy poprzeprana, wtedy należy roztrzepać każdy kawałek i złożyć jeden na drugim. Konewkę wody wlewa się do baniaka, daje 2 łyżki sody sproszkowanej i 10 dkg. mydła drobno pokrajanego, zagotowuje, a gdy mydło się rozpuściło, dolewa 2 konewki zimnej wody, wkłada bieliznę i gotuje ją 20—30 minut, obracając ją drewnianą łopatką (t. zw. kopystką) za każdem zakipieniem. Gdyby w kotle lub baniaku nie mieściła się wszystka bielizna, trzeba rozgotowane mydło i bieliznę na dwa razy podzielić.

Po wygotowaniu wyjmuje się bieliznę do szaflika, a nie do balii (gdyż od gorącej bielizny paczy się dno balii, a naprawa szaflika mniej kosztuje, jak naprawa balii), a do balii nalewa się letniej wody i po kilka sztuk starannie przepiera, często wodę zmieniając. Potem jeszcze raz płucze się bieliznę w zimnej wodzie i farbuje.

Z gospodarstwa.

Czem dałoby się najlepiej zastąpić owies u koni?

1. Trawa, czerwona koniczyna i lucerna mogą zastąpić owies, lecz nie na długo, karmione bowiem niemi konie tracą wiele na sprężystości i żywości ruchów, oraz dostają duże brzuchy i mokrzą często.

2. Żółty łubin nadaje się do tego jeszcze mniej; trzeciego bowiem dnia koń go nie ruszy.

3. Jęczmień czysty lub zmieszany z owsem może zastąpić owies zupełnie. Jest on wprawdzie cokolwiek mniej strawnym, niż owies, lecz nie sprowadza kolek.

4. Żyto uważano do niedawna jeszcze, jako niebezpieczny obrok dla koni. Do-

świadczenia jednak wykazały, że jest ono znakomitą paszą i może zupełnie zastąpić owies. Wtedy tylko, gdy konie obok żyta nie dostaną siana i sieczki, dostają rozwolnienia. Ten sam skutek co żyto, wywiera także pszenica.

5. W miejsce owsa użyć można bardzo dobrze bobiku, grochu i wyki, a 6, 8 do 9 funtów wystarcza, by koń mógł pracować całą siłą. Ziarna te spasać można same lub z owsem.

6. Suszonego łubinu nie zaleca się, sprowadza on bowiem brak apetytu i kolki. Można go chyba tylko mieszać w jednej, trzeciej części z owsem.

Pod względem wartości odżywczej oraz smakowitości paszy zajmują w zastąpieniu owsa pierwsze miejsce jęczmień, drugie żyto, trzecie pszenica, czwarte zielenica, piąte groch, szóste bobik, siódme kukurydza, ósme tatarka, dziewiąte wyka, dziesiąte suszony i zielony łubin. Przy strączkowych i tatarce trzeba dawać podwójną porcyę siana.

Buraki pastewne dla trzody chlewnej.

Buraki są bardzo dobrą karmą dla świń. Jednakowoż i tutaj trzeba zachować miarę, gdyż inaczej może to źle się odbić na zdrowiu zwierząt. Jeden z niemieckich rolników podaje następujący fakt:

Uważał on corocznie, że prosięta przy lochach, które znajdowały się w chlewie przy magazynie, w którym składano buraki, chorowały po każdorazowem przywiezieniu do magazynu buraków z kopców. Ponieważ chlew był oddzielony od magazynu tylko drewnianą ścianą, sądził, że zimne i wilgotne powietrze, ciągnąc przez tę ścianę, szkodziło prosiętom. Skoro wyprowadzono maciory z prosiętami ze wspomnianego chlewa i nie dawano maciorom przez kilka dni buraków, prosięta w bardzo krótkim czasie wracały do zdrowia. Po dłuższem czasie przekonał się, że to nie wilgotne powietrze szkodziło prosiętom, lecz, że ludzie, którzy wyładowywali buraki, znajdowali przyjemność w dawaniu maciorom jaknajwiększej ilości tej karmy. Przekonał się on, zwłaszcza przy zmianie ludzi, że chorowały prosięta, pozostające przy tych maciorach, które były najżerniejsze i które dostały tyle buraków, ile tylko chciały zjeść

Na mocy tych doświadczeń, wspomniany rolnik doradza, aby maciorom z młodemi prosiętami nie dawać więcej buraków, niż połowę karmy. Obok plew, śruty i wody można dawać prośnym lochom, stosownie do ich wielkości, 9—8 funtów buraków, maciorom z małemi prosiętami 2—3 funtów. Choroba prosiąt ssących matki przekarmione burakami, objawia się biegunką, jeżeli to przekarmienie trwa przez dłuższy czas, wówczas prosięta giną.

Pielęgnowanie skóry u krów.

Małorolni gospodarze bardzo mało dbają o czystość skóry u krów i nawet nie zdają sobie z tego sprawy, jak wielką przez to ponoszą szkodę na inwentarzu.

Przedewszystkiem wiedzieć trzeba, że przez czyszczenie skóry wszelkie pory, czyli wyloty w skórze pozostają otwarte, a to wielkiej jest doniosłości dla zdrowia bydła. Przez te pory wydziela się z ciała bydlęcia zużyta materya, co przyczynia się do zdrowia bydląt a nadto czyni skórę mięką i elastyczną.

Powtóre porami w skórze bydle oddycha, gdy są tedy zatkane gnojem i brudem, bydle zapada łatwo na różne choroby, mizernieje, a jeszcze w skórze zagnieżdżają się wszelkiego rodzaju pasożyty.

Do czyszczenia bydląt nie trzeba używać zgrzebła, ale szczotki. Jeżeli zaś uży-

wa się zgrzebła, to powinno ono być o krótkich zębach W każdym razie nie należy przy czyszczeniu kaleczyć skóry, ani zbyt jej drażnić. Przedewszystkiem wytrzeć suchym wiechciem miejsca gnojem, czy błotem zanieczyszczone. Jeszcze lepiej pierwej obmyć je ciepłą wodą. Potem dopiero następuje czyszczenie szczotką lub zgrzebłem. Czynność tę wykonać trzeba powolnie i delikatnie, bo bydlę również ma czucie. Tem ostrożniej czynić to trzeba na miejscach delikatnych i bardziej bolących Gdy gnój odejść nie chce, trżeba koniecznie użyć przedtem wody ciepłej, rozmiękczyć go i zmyć a potem dopiero wziąć się do szczotki.

Kto dba o bydło, zawsze i codziennie je czyści, temu ta praca ani ciężką ani długą nie będzie. Zaniechanie zaś pielęgnowania skóry u bydląt, jaknajgorsze pociąga za sobą skutki. Aż strach popatrzeć, jak to nieraz wyglądają te bydlęta! Istne strachy! Dziwno tylko,że też nie wstyd gospodyni takie mieć w stajni krowy.

Pielęgnowanie bydła nie powinno się atoli ograniczyć do skóry. Należy także pamiętać o racicach, by je od czasu do czasu poucinać, gdyż bydlętom, które ciągle stoją w stajni wyrastają długie racice, co im dotkliwy sprawia ból, bo nie mogą stać ani się przestąpić. Wczesne przycięcie racic, zapobiega temu.

Pamiętajcie gosposie i gospodarze, że takie macie bydło, takie krowy, jaką jest wasza o nie troska!

ROZMAITOŚCI.

Jak się przyrządza ludzkie mięso. W Europie — dzięki cywilizacyi — już oddawna sztuka ta wyszła z użycia. Ale ludożercy nie zapomnieli jej jeszcze i mają kilka sposobów przyprawiania człowieka.

Papuasi, którzy niedawno temu zjedli mineraloga Warnera, opiekają naprzód swą ofiarę na rożnie do brunatna, tną potem na kawałki które zjadają obsypane palmowym cukrem. Inne plemiona gotują lub dynstują mięso ludzkie w ryżu, gdzieindziej znów zaprawiają je palmowem winem lub sorghumowym cukrem.

Bałabowie w Congo za specyał uważają mózg i serce białego, którego zresztą pieką i dzielą na dwie części; górną część dostają młodzi, dolną starsi, głowę zjada „król“. Niektóre dzikie szczepy karmią białych, jak gęsi; królowie zjadają tam tylko oczy i serce, resztę dostają poddani.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:
Ks. Marceli Dziurzyński.
Drukarnia W. Poturalskiego Podgórze-Kraków